

Alicja Kalafut

„UROCZE” WAKACJE

To miał być piękny urlop. Gdy wyjeżdżaliśmy z domu w pewien słoneczny, ciepły dzień na początku lat 60., nawet nie przypuszczałam, co nas czeka. Do Muszyny dotarliśmy po około 20 godzinach jazdy pociągiem. Przywitana nas strugami deszczu i zimmem. Zmoknięci i zziębnięci dotarliśmy do rodziny na Ogrodowej. Codziennie rano, jeszcze z łóżka, spoglądałam z nadzieją w ciągle deszczowe niebo. Góry, lasy „dymiły” i nie zanosiło się na wypogodzenie, a wszechobecna wilgoć wnikała w nasze ubrania. Na dodatek na słupie elektrycznym w ogrodzie zawsze rano siadało czarne, wielkie ptaszysko i złowieszczo krakało. Wszystko to nie nastrojało optymizmem... Z dnia na dzień obiecywałam sobie: „jutro wyjeżdżam”, ale mąż pocieszał mnie, że wreszcie musi się wypadać i wypogodzić.

Pod koniec naszego pobytu Muszynę obiegnęła wieść, że na Wapiennem pękła ziemia. Poszliśmy zobaczyć – oczywiście pod parasolami. Okazało się, że ciągle deszcze spowodowały popękanie i obsunięcie się w wielu miejscach skarpy nad krzyżem przy „kwaśnej” wodzie. Na zboczu stał dom i zabudowania gospodarcze, o ile dobrze pamiętam, należące do pana Władysława Ramsa, kolegi mojego męża z wojennej pracy w tartaku.

Widok był okropny. Rozerwany i pochylony dom mieszkalny, który jakby spłynął po skarpie do brudnego Popradu, zniszczone pozostałe zabudowania. W wielu miejscach dość duże i głębokie uskoki obnażające wilgotną ziemię. To był mały kataklizm... Zrobiliśmy parę zdjęć dla pana Ramsa. Przez lata wyblakły, ale nadal pokazują ogrom tragedii, która dotknęła tę rodzinę.



W tym czasie w moim mieście była piękna, słoneczna pogoda. Po powrocie do pracy opowiedziałam koleżankom o moich deszczowych wakacjach; jedna z nich przez wiele lat ostrzegała przed braniem urlopu w czasie, gdy ja wybieram się do Muszyny. Jednak nadal – pomimo wszystko – jeździłam w to nasze ukochane miejsce. Na szczęście taki deszczowy urlop nigdy się nie powtórzył...